

1768

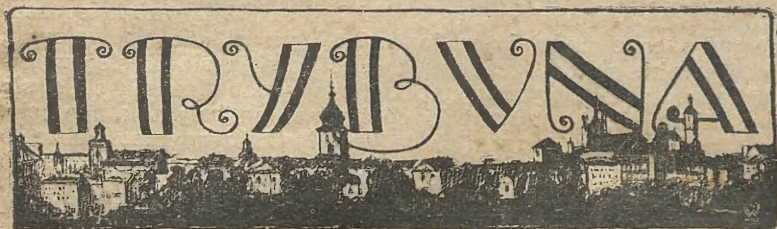
KOBOS TADEUSZ

leg. 539

L

/30.

№ 1. WARSZAWA, dnia 15 października 1919 r. Rok I.



PISMO TYGODNIOWE.

Numer pojedynczy. . Mk. 1.50
 W Małop. i b. okup. austr. K. 2.50
 Kwartalnie Mk. 15.—
 W Małop. i b. okup. austr. K. 25.—
 Wiersz inseratowy. . Mk. 2.—

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Al. Jerozol. 21, m. 18.

Telefon 78-86.

Konto czekowe: 532.

Rękopisów nie zwraca się.

*

**

*.

Dogasa pożar wojny światowej. W krwawych jego blaskach rodzi się Niepodległa Republika Polska, członek wielkiej rodziny Nowego Świata. Wojna wybuchła na tle olbrzymiego rozrostu sił produkcyjnych ludzkości, wyzyskanych przez kapitalizm, posługujący się militarystką, imperjalizmem i szowinizmem nieokiełznanym. Straszne potęgi nagromadzonej, a w jarzmie kapitalizmu chodzącej twórczości ludzkiej cisnęła wojna w bój, ześrodkowała całą działalność setek milionów ludzi na bój, na rzeź, na wolę do zwycięstwa. Kapitalizm zachodnio-europejski i amerykański zwyciężył przeżyte formy cezaryzmu środkowo-europejskiego. W gruzy zawalił się carat. Większa twórczość, silniejsza demokracja, ale też i potężniejszy kapitalizm zwyciężyły. Zwyciężyły, apelując do masy, powołując miliony, aż do ostatniej dziewczyny z ludu do pracy dla wojny, obiecując zwycięstwo sprawiedliwości, kultury, wolności — koniec wojen. Ludom ujarzmionym przez carat i cezaryzm Hohenzollernów i Habsburgów obiecywano — niepodległość. Wywołano do boju potęgi odwieczne; państwa rzuciły w wir wojny całą ludność. Ważyły się losy świata, a na szalę rzucono siłę i przyszość całych ludów...



Wojna się kończy. Któż cofnie fale ludowe, które weszły jako ofiarne czynniki na arenę świata? Któż poważy się oszukać pobudzone nadzieje milionów? Wyczerpanie powojenne, chaos, braki, głód i niedostatek przetwarzają się dzisiaj w gorącą społeczność; parcie naprzód masy pobudzonej stało się czynnikiem głównym polityki społecznej na całym kontynencie. Masa woła o prawo w zamian za krew! O prawo rzeczywiste, o życie inne, lepsze, szczęśliwsze. Frazesy o dawnej zależności i o potrzebie ludu, budzą tylko śmiech zjadliwy — prowokują. Dawne czasy nie wrócą, nie mogą wrócić. A jakież nowe oczekują ludzkość?

Albo kapitalizm powojenny zwycięży, albo lud. Jeżeli powojenny kapitalizm zdoła zapanować nad światem, wówczas wkroczymy w okres niewoli świata u stóp kilkudziesięciu tysięcy zbogaconych potentatów amerykańskich, angielskich, francuskich. Narody i państwa staną się lennikami kapitału, który należałoby nazwać „paskarskim“. Niepodległość ich będzie tylko smutną ironją. Bohaterstwo stanie się odzwierciedleniem paskarza.

Albo lud zorganizuje swoją moc i zwycięży, a wtedy zapanuje na świecie nowy ład, ład zwycięskiej pracy.

Skołatany wojną, znękany i rozbity stuletnią niewolą naród polski odczuwa w swem łonie to straszliwe zmaganie się dwu potęg, dwu światów. Że u nas te procesy światowe przybierają odrębne formy, że trzeba obalać to, co na Zachodzie dawno obalono, a tworzyć to, czem cieszą się od lat dziesiątków wolne narody, że my w jednym roku przebywać musimy procesy już skryształizowane gdzieindziej, a równocześnie dostrajać się do nowych, to sprawia nieraz zamęt stosunków i pojęć, dochodzący aż do tragifarsy...

Ale nad wszystkimi bólami porodu, nad zamętem, nad pozornym brakiem myśli i celów polskiego życia masowego, panuje jedna myśl wielka: uratowanie narodu, uratowanie jego Niepodległości, jego Wolności, jego Przyszłości. Zrujnowana wojną Polska zdobyła się na obronę swoich granic, zagrożonych ze wszystkich stron. Znalazła w najkrótszym czasie niemal milion synów chłopskich i robotniczych, gotowych umrzeć za Polskę. W Polsce powtórzyła się na mniejszą jeno miarę historia wojny światowej. Wtedy, kiedy świat cały już zaczyna się otrząsać ze zgrozy przed strumieniami krwi ludzkiej, Polska krwawi się w wojnie... Któż jest w Polsce dość potężnym, żeby temu ludowi odmówić praw?

To też chłop i robotnik polski sięgają po swoje prawa. To większość, to siła, to zręby nowego świata! Kto tę większość uświadomi i zorganizuje, kto jej drogę wskaże, kto interesy jej

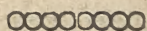
ujmie w żelazne formy logiki życia, twórczości, rozwoju, kto z życia tej masy pracujących ludzi wytworzy nową, wspanialszą niż dotąd kulturę i cywilizację, ten będzie budowniczym państwa polskiego. Rodzimy, polski kapitalizm, to dzisiaj paskarz żyjący odpadkami ze stołu wielkich paskarzy świata, to kramarz, niezdolny do wielkiego dzieła. Bogactwa nasze w pracy i jeszcze raz w pracy!

Polska to wielki warsztat tej pracy. Tylko ją trzeba zorganizować, uświadomić, uszlachetnić wolnością i odpowiedzialnością, a wtedy nie zginiemy z głodu, ani nie pójdziemy w niewolę obcych.

Nie piszemy szczegółów programu partyjnego. Chcemy służyć sprawie wyzwajającego się z powijaków niewoli Polskiego Ludu Pracującego. Chcemy Polski wolnej przez wolność rzeczywistą milionów Polaków, chcemy Polski - Ojczyzny dla wszystkich jej synów, a nie tylko dla uprzywilejowanych. Głosimy zasadę równouprawnienia ludzi każdego narodu, rasy, czy wyznania w Polsce. Tylko miłość może żądać miłości.

Pragniemy koło naszej „Trybuny“ zgrupować ludzi wielkiej idei i czystych serc i ręki, potrzebnych dla wielkiego dzieła. Wraz z całym światem socjalistycznym i republikańskim, szukającym nowych dróg życiowych dla siebie, chcemy pracować i torować drogę. Dać wyraz nowym ideom, miejsce dla dyskusji i ścierania się zdań, bez obelg, bez zacietrzewienia, ale zdań opartych na głębokim przekonaniu. W wielkich rzeczach sama chęć usprawiedliwia.

Redakcja „Trybuny“



Błędy, które się mszczą

W epokach normalnych mijają lata, czasem lat czterdzięć, zanim się okaże, że jakieś posunięcie w tej „grze świata“, jaką jest polityka, było dobre lub złe. W czasach dzisiejszych, kiedy wypadki pędzą z szybkością huraganu, stojącym zdala zdaje się chwilami, jakgdyby skutki następowały po przyczynach, w każdym zaś razie kara lub nagroda postępuje zaraz w ślad po winie lub zasłudze. Jesteśmy świadkami wspaniałej poglądowej lekcji historii, jakiej nie widział świat. A chyba żaden naród tak nie potrzebuje tej nauki, żaden więcej z niej skorzystać nie ma obowiązku, jak polski. I z dziwnym jakimś uczuciem grozy myślimy, że od odpowiedzi na pytanie, czy z tej lekcji skorzysta, czy nie, czy z tej strasznej zawieruchy dziejowej wyjdzie z pogłębiłą świadomością swego położenia w Euro-

pie, z jasnym sądem o swych państwowych zadaniach, czy nie, czy demokracja, której moment w Polsce naprawdę dojrzał dopiero podczas tej wojny i przez nią, zdoła swą wybuchową siłą rozsądzić obręcz zaklętego koła, w jakim się historia nasza obracała od połowy XVII-go wieku aż do rozbiorów — że od odpowiedzi na te pytania zależą losy, zależy cała nasza przyszłość, jako narodu i państwa. To też obowiązkiem każdego, kto życie swe poświęcił służbie publicznej, jest, prawdy płynące z rozpamiętywania tej osobliwej chwili już nie szeptać, ale głośno krzyczeć swemu narodowi.

Zdarza się często, że wypadki same w sobie drugorzędного znaczenia, może dlatego, że je łatwiej od innych wyodrębnić, lepiej oświetlają położenie polityczne danej chwili, niż główne problemata wielkiej światowej polityki. Takim dla Polski wypadkiem był upadek rządów Beli Kuhna na Węgrzech. Jakikolwiek obrót wezmą rzeczy w dolinie Cisy, czy Węgry zwrócą się ponownie ku Austrii, czy też przedewszystkiem zbliżą się do Rumunji i Włoch, w każdym razie ostatni przewrót węgierski oznacza konsolidację tego państwa, tak jak upadek Lenina w Rosji oznaczać będzie konsolidację Rosji. Chociaż stracone z dawnej wysokości, Węgry stają się znów czynnikiem politycznym na rubieży Europy środkowej i wschodniej, a więc w najbliższej sferze naszych interesów politycznych. Jak długo na Węgrzech panował rząd Kuhna i Samuelego, naiwnym umysłem w Polsce mogło się zdawać, że pas w Węgrzech północnych oddany przez Ententę Czechom będzie dla nas wałem ochronnym przed zalewem bolszewizmu. Z chwilą konsolidacji Węgier cała potworność „kurytarza pana Dmowskiego” stała się jasną każdemu dziecku w Polsce.

W naszym, tak bardzo niekorzystnem położeniu geograficznem w Europie, najprostszym postulatem bezpieczeństwa Polski na zewnątrz jest możliwie jak najdalej posunięta parcelacja jej granic. Powinniśmy graniczyć bezpośrednio z jak największą ilością państw, posiadających sprzeczne pomiędzy sobą interesy. Pomijając więc na razie zupełnie niejasną sprawę naszej granicy północnej i licząc się, jako z koniecznością, z bardzo nierównym podziałem zachodniej między Niemcy a Czechy, dążyć powinniśmy do tego, żeby na wschodzie graniczyć nie tylko z Rosją, ale i z Ukrainą i z Rumunją, a na południu ze Słowaczczyzną i z Węgrami. Tymczasem konstrukcja naszych granic wedle koncepcji politycznej narodowej demokracji i jej przywódcy była wprost zaprzeczeniem tego postulatu. Byłoby bowiem mylnem sądzić, że słynny północno-węgierski korytarz jest tylko architektonicznym szczegółem w gmachu polityki zagranicznej p. Dmowskiego. Przeciwnie, stanowi on organiczną część systemu, opartego na przymierzu Polski z Rosją, Czechami i południową Słowiańszczyzną, a więc z państwami, między którymi nie istnieje żadna sprzeczność interesów, a z których za to jedno chce nam zabrać

Lwów, Chełmszynę i Wilno, drugie — Cieszyn, a trzecie — co najmniej nie nam pomóc nie może. Z tego systemu wypłynęły zarówno pakt praski i lublański pp. Głabińskiego i Skarbka, jak i „porozumienie“ p. Dmowskiego z pp. Sazonowem i Lwowem.

Pamiętnem pozostanie w historii dyplomatycznej „zdziwienie“ p. Głabińskiego, że Czesi wbrew jego układom zajęli Śląsk Cieszyński. Wszak narodowo-demokratyczni politycy wyobrażali sobie, że zgoda Polski na czeski kurytarz w północnych Węgrzech stanowi dostateczną kompensatę za zgodę Czech na oddanie nam Śląska Cieszyńskiego. Panowie ci nie widzieli, jaki w tej koncepcji tkwi absurd polityczny. Wystarczy rzucić okiem na mapę, specjalnie zaś na trasę linii koszycko-bogumińskiej, żeby się przekonać, iż posiadanie Śląska Cieszyńskiego jest dla Czechów naturalną przesłanką bezpieczeństwa w owym północno-węgierskim korytarzu. Godząc się na okrażenie Polski przez Czechów, na ich usadowienie się w północnych Węgrzech, narodowa demokracja nie tylko nie zabezpieczyła nam Śląska, lecz przeciwnie zaostrzała czeski apetyt na tę prastarą piastowską dzielnicę. Pakt praski jest więc dowodem bezgranicznego dyletantyzmu politycznego, tak samo zresztą, jak mniej znany pakt z południową Słowiańszczyzną. Życzymy tej ostatniej z pewnością wszystkiego najlepszego, jak najpiękniejszego rozwoju jej narodowości i kultury. Ale, że jakikolwiek bliższy nasz stosunek z tem państwem jest ze względu na jego sprzeczność interesów z Włochami bardzo problematycznej dla nas wartości, to rzecz najzupełniej jasna. Mamy już zresztą na to dowody. Jeżeli delegacja polska w Berlinie spotkała się właśnie u reprezentantów dyplomatycznych włoskich z bardzo chłodnem przyjęciem w sprawie Górnego Śląska, to wiemy wprawdzie doskonale, że należy to przede wszystkim przypisać rosnącemu nieporozumieniu między Włochami a Francją i coraz bardziej widocznemu kokietowaniu Niemiec przez Włochy, ale jest to dla nas przestroga, ażebyśmy nie kładli, wzorem narodowo-demokratycznych dyplomatów, palców między wszystkie półotwarte drzwi w Europie.

Zdawałoby się, że zadaniem naczelnem polityków polskich dzisiejszego pokolenia powinno być korzystanie z doświadczeń, unikanie błędów przeszłości. Tymczasem... wspaniałe dzieło unii polsko-litewskiej w końcu XIV-go i z początkiem XV-go wieku miało w sobie jeden kapitalny błąd polityczny: zamiast dążyć do zastąpienia polsko-litewskiego dualizmu polsko-litewsko-ruskim tryjalizmem, wszedł Jagiełło od samego początku na drogę podziału ziem ruskich między Polską a Litwą. Działyły w tym kierunku siły i wpływy bardzo rozmaite, a nawet między sobą diametralnie sprzeczne: ambicja osobista Witolda i polityka wielmożów małopolskich. Zamiast popierać na Rusi proces analogiczny do tego, który się na korzyść jego władzy wielko-książęcej odbył na Litwie, zamiast dążyć do stopniowego anihilowania małych udzielnych księ-

stewek ruskich na rzecz jakiegoś wielkiego księcia kijowskiego, choćby także z rodu Giedyminowiczów, Witold starał się o zagarnięcie jak największej ilości tych udzielnich księstw pod swoją władzę. A równocześnie Spytkowie z Helsztyna wykrawywali sobie z tych ziem ówczesnego Dalekiego Wschodu całe dzielnice dla siebie i swoich małopolskich następców. Temu zawdzięczamy wszystkie nasze późniejsze nieszczęścia: i wojny kozackie, i wielki potok XXII-go wieku, i wystąpienie Rosji, jako wielkiego mocarstwa w XVIII-ym w, i rozbiory. Tego wszystkiego nie byłoby, gdyby obok polskiego Orła i litewskiej Pogoni ruski Anioł był się zjawiał w herbie państwowym polskim w XV-ym czy XVI-ym stuleciu, nie zaś dopiero w powstańczych oznakach po-rozbiorowych. Gdy dziś na te oznaki patrzymy, moglibyśmy sądzić, że świadomość wielkiego zasadniczego błędu popełnionego w zaraniu Unji polsko-litewskiej jest u nas powszechna. Czemże tymczasem są wszystkie „układy“ p. Dmowskiego z przedstawicielami dawnej Rosji, jak nie powtórzeniem podziału ziem ruskich. Więc w wieku XX-ym mamy znowu rozpocząć chocholowy taniec w zaklętym kole między Rosją a Niemcami.

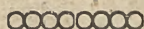
Ale p. Dmowskiego czekała niespodzianka podobna do tej, która spotkała biednego dyplomatę z Łyczakowa, tylko że w znacznie zwiększonych rozmiarach. Cała jego polsko - rosyjska konstrukcja spoczywała na podstawie czynnej interwencji Ententy w Rosji. Dziś jest rzeczą obojętną, czy w tej mierze zapadła lub nie formalna uchwała Rady Najwyższej, albowiem jest rzeczą pewną, że interwencji w Rosji nie będzie. Trzeba było dopiero tego faktu, żeby narodowo - demokratycznego polityka przekonać, jak fałszywemi były jego rachuby. Bo tego ani on, ani jego podwładni nie rozumieją nigdy, że o kierunku działania danego państwa nie decydują żadne układy, ani żadne zobowiązania, choćby bardziej formalne i przez bardziej uprawnione zawarte czynniki, niż p. Dmowski, jako reprezentant Polski z jednej, a p. Sazonow z drugiej strony. Nie rozumieją nigdy, że o tym kierunku decyduje siła rzeczy, duch dziejów narodu i państwa. A ta siła rzeczy i ten duch dziejów wskazują nam bardzo wyraźnie linię polityki zagranicznej Rosji z chwilą, w której się dokona jej konsolidacja państwowa. Linja ta idzie równocześnie na Konstantynopol i Saloniki, może Cattaro, i na Lwów, Mińsk, Wilno i... Warszawę!

Ale pakta praskie, lublańskie i paryskie nie wyczerpują jeszcze całego bankructwa narodowo - demokratycznej polityki zagranicznej. W chwili, kiedy nieporozumienia między Francją a Włochami, Włochami a Serbją, Ameryką a Japonją z każdym dniem stają się głębsze i bardziej widoczne; kiedy dzięki nieporównanemu położeniu geograficznemu W. Brytanji i opartemu na niem genjuszowi jej dyplomacji, ster losów świata coraz bardziej wyłącznie przechodzi w ręce angielskie, kiedy przesunięcie się punktu ciężkości z Paryża do

Londynu znajduje swój zewnętrzny wyraz symboliczny w przeniesieniu najważniejszych pertraktacji pokojowych w naszej sprawie z nad Sekwany nad Tamizę; kiedy w Polsce wszyscy już wreszcie zrozumieli, że nasza granica wschodnia a z nią razem nasze bezpieczeństwo państwowe zależą od scharmonizowania naszej polityki zagranicznej z angielską — w takiej chwili nasz „pierwszy“ reprezentant na Kongresie pokojowym staje wobec drzwi zamkniętych, które się właśnie przed nim i tylko przed nim nie otworzą.

Lecz Brutus jest mężem ze wszech miar szanownym. Z gmachu polityki zagranicznej p. Dmowskiego nie pozostał literalnie kamień na kamieniu. Jego polsko - czesko - południowo - słowiańsko-rosyjski sztandar leży poszarpany w strzępy. Każda jego umowa, każde porozumienie kończy się kompromitacją. Każdy jego ruch na Kongresie budzi w kraju lęk i odrazę. Ale nie to. Pan Dmowski jest dalej przedstawicielem Polski wobec mocarstw świata. Miałoby to znaczyć, że na pytanie, postawione u wstępu, pytanie, od którego rozwiązania zależą nasze losy, dziś już mamy sobie odpowiedzieć: nie!

Externus.



Recepta.

W rozpaczliwym położeniu gospodarczem i administracyjnem, w jakim znajduje się Polska, pokutują wśród ludzi najprzeróżniejsze opinie o cudownych środkach, jakimi Polskę można w krótkim czasie wyleczyć. Każdy jest tu powołanym, w swoich oczach oczywiście, lekarzem, każdy jest tak pewnym wyłącznej słuszności swego zdania, że gotów na dowód swej słuszności przelać krew — cudzą, poświęcić życie — cudze.

Ma nas zbawić koalicja, jej „misje“, jej pieniądze, jej ludzie. Po przebrzmiałym już kulcie Francuzów przysłała nowa moda „amerykańskiej teźyżny“, ale nie brak i takich, którzy najspokojniej wzdychają do dawnych „dobrych“ czasów pełnych garnków rosyjskich, a nawet do wygodnych, pantoflowych metod habsburskich... Ba, słyszy się bez żenady wypowiedane zdania: „Jaka szkoda, że okupacja pruska nie potrwała u nas z lat dziesiątek...“ Na prowincji nie krępują się miejscowe potencje z dworów szlacheckich wcale a wcale, lecz wypowiadają głośno tęsknotę za obcym „bałem“, oczywiście na chłopów i parobków. Sojusz z Rosją reakcyjną jest dziwnie popularny nawet w Warszawie, nie mówiąc już o kresowych „politykach“ szlacheckich. Zakaz strajków, 12 godzinny dzień pracy, zniesienie prawa o stowarzyszaniu się i zgromadzaniu masy ludowej, konfiskata pism przeciwnych, aresztowanie przeciwników politycznych, w

odwodzie zaś szubienica, terror, knebłowanie robotników, chłopów, parobków, inteligentów i Bóg wie kogo jeszcze — sypią się jako szeregi jedynie zbawczych rad i przepisów.

W przeciwnym obozie jest zupełnie na odwrót. W świetle pożaru carskiej Rosji rysują się sylwetki polityczne ludzi, którzy liczą dni i godziny, kiedy Lenin i Trockij przełamia polską armję i przyślą do Warszawy pp. Unszychów i Dzierżyńskich, którzy raz „zrobią porządek“ z reakcją polską, powywieszają, rozstrzelają „tubylców“ jako „kontrewolucjonistów“, zamkną, skonfiskują, zabronią każdej innej partji żyć z wyjątkiem — komunistów. W rezultacie tak samo bat, areszt, szubienica. Jedni i drudzy obiecują z Polski zrobić pustynię. Jedni i drudzy podobni do ciężkich neurastenników o słabych nerwach i bezpośredniej reakcji. Jedni i drudzy opętani jakimś obłędem władzy i uproszczeniem pojęć o procesach społecznych. Wystarczy „wziąć władzę w ręce“, wystarczy nakazać, zakazać, rozstrzelać, powiesić, a będzie „ład i porządek“ w kraju.

Takiem samem uproszczeniem, słabością nerwów, dochodzącą do rozmięczenia mózgu jest recepta uzdrowienia Polski za pomocą — krwi żydowskiej. Gdyby słowem można było zabijać, to Polska byłaby już dawno cmentarzem, bo i Polacy i Żydzi nie szczędzą sobie wzajemnie słów — zabójczych. W fantazji polityków, których spotkasz w każdym wagonie, w każdym tramwaju, cukierni, kawiarni, poczekalni, Żydzi polscy emigrują do Ameryki północnej i południowej, do Afryki, Palestyny, Mezopotamji, co nie przeszkadza im siedzieć spokojnie w Polsce.

Najlepsi są pesymistyczni optymiści. Tu pozwolimy sobie zacytować wyjątek z artykułu zdolnego dziennikarza w piśmie, popierającym rząd, o tem, jak dziś Polska wygląda. Proszę posłuchać:

„A w kraju tymczasem jest **nieład**, jest rozbitcie opinji, jest **skarb pusty**, jest pieniądz **papierowy**, **obcy** i **deprecjonowany**, jest **brak** i **nieopisana drożyzna** najniezbędniejszych potrzeb życia, jest **anarchja aprowizacyjna**, jest **zaogniona waśń klasowa** i **walka agrarna**, jest **dezorganizacja** wszelkiej pracy, jest **marazm przemysłu**, jest **wyuzdane paskarstwo**, jest **rozszalała** i **podsykana** milionami rzucanemi przez wroga **agitacja przewrotu**, jest **gorsząca korupcja**, jest **wyzuły** z poczucia zbiorowości, patriotyzmu i poświęcenia **egoizm**, jest **bezrozum**, **upór** i **chorobliwa ambicja stronnictw**, jest **orgia paszkwilu** w prasie, **przerażające obniżanie** poziomu kultury umysłowej, jest **niedojrzałość polityczna**, jest **lenistwo**, **niedołęstwo**, **niedbalstwo**, **bezradność** w służbie publicznej, jest **dyletanctwo biurokratyczne**, jest **partykularyzm dzielnicowy**, jest **izba sejmowa** w znacznej części **analfabetyczna**, słabo zaopatrzona w ludzi talentu i wiedzy, **nieprzygotowana** na ogół biorąc do zadań, jakie na nią spadły, **odwlekająca rozmyślnie** budowę konstytucji, nie będąca w stanie wytworzyć z siebie większości, jest wreszcie rząd, w którym jest kilku ludzi tę-

gich i wybitnych, ale rząd o nieokreślonych kompetencjach, **niezestrojony** wewnętrznie, **zdekompletowany**, a daremnie próbujący się zreorganizować, ograniczany i napastowany przez Sejm, czasem **nawet kompromitowany przez swoje otoczenie**, podrywany i szkolowany przez warcholstwo jednostek nie tylko niewiedzących czego chcą, ale nawet niedokładnie zdających sobie z tego sprawę, czego nie chcą.

Obraz jest rozpaczliwie ponury“.

Ale nie traćmy otuchy. Bo artykuł kończy się zapowiedzią zbawienia:

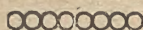
„Miejmy nadzieję, że szereg wybitnych ludzi, których mamy w rządzie i w sejmie, poda sobie pomocne dłonie do tego dzieła, które im jest trudniejsze, tem wdzięczniejsze i piękniejsze otwiera pole do pracy“.

Znowu recepta, nawet bardzo popularna w pewnych kołach, które zmęczyły się już bezskutecznem załamywaniem rąk nad — przeciwnikami (nigdy nad sobą!), posyłaniem ich na szpaltach gazet na szubienicę, do więzień i na wygnanie. Cóż to ma zrobić „szereg wybitnych ludzi“? Podać sobie dłonie. Doskonale. I co dalej? Do jakiegoś dzieła, którego rezultatem byłby pełen skarb, taniość, przemysł, dobrobyt, oświata, złagodzenie obyczajów i t. d. i t. d. Jakim cudem ma się to stać, tego jednak nigdzie nie słychać.

Na czem opiera się ta znowu recepta o „wybitnych“ ludziach, podających sobie dłonie? Że skoro przodownicy różnych stronnictw potrafią się połączyć, pójdą za nimi ich stronnictwa, a za stronnictwami klasy, t. j. cały naród.

Gdzie, kto kiedy widział taką politykę, skoro właśnie „wybitni“ nie mogą dziś podać sobie dłoni, boć niepodobna pogodzić paskarza z jego ofiarą, magnata z małorolnym, bezrobotnego z jego głodem i t. d. Trzeba się na coś zdecydować. Trzeba iść w jednym jakimś kierunku głównym i to w takim, w jakim iść należy. Trzeba albo bronić paskarza, albo konsumenta, magnata albo bezrolnego, ale nie można iść wprzód i w tył równocześnie, nie można podawać sobie dłoni, dopóki niewiadomo, po co to wszystko? „Pocziwa“ nasza politykująca klasa średnia, powtarza już zbyt bezmyślnie tę receptę o „podawaniu sobie dłoni“.

Polska polityka pójdzie w kierunku większej siły i to siły trwałej; opartej na liczbie i znaczeniu większości narodu. Polska polityka pójść musi i pójdzie w kierunku tym samym, co i Europa powojenna. Ale zanim kierunek stanie się jasnym, trzeba go przygotowywać, choćby w trudzie i pozornym zamęcie. Gdyby Polacy umieli politycznie walczyć, umieliby i zawierać ze sobą kompromisy bez hańby i szkody. Ale my nie umiemy walczyć i dlatego tyle się pisze o zgodzie i podawaniu sobie rąk pomocnych bez żadnej pomocy.



Program skarbowy ministra Bilińskiego.

(Kilka uwag).

Powołanie Bilińskiego na ministra skarbu kraj cały powitał z uczuciem ulgi. Po dwóch ministrach dyletantach, robiących ze skarbem naiwne doświadczenia, kosztujące miljardy, nareszcie człowiek fachowy, bogaty w zasoby wiedzy i doświadczenia.

W krytycznem położeniu, w którym skarb państwa się znajduje, zapomniano o politycznej przynależności p. Bilińskiego, o jego przeszłości. Powstało samorządnie, co do p. Bilińskiego, rodzaj „trengo dei“, zawieszenie broni.

O pożytecznej działalności nowego ministra w organizacji rządu dochodzą do publiczności bardzo pomyślne wieści, a seminarja jego w radzie ministrów wydały już widoczne a pomyślne wyniki.

Mimo wielkiej wagi tych spraw nie decydują one o stanowisku społeczeństwa do ministra skarbu, albowiem główną i decydującą sprawą — to skarb, to wyniki osiągnięte w uporządkowaniu finansowem gospodarstwa państwowego. Gdyby p. Biliński okazał niezrównane uzdolnienie na prezydenta ministrów i w tych czynnościach zaskarbił niespożyte zasługi, społeczeństwo ich uznać nie będzie mogło, chce bowiem w nim widzieć tego, kto uporządkuje finanse Rzeczypospolitej.

Wiadomo, że zadanie to olbrzymie. I największy talent, największa wiedza, nieustanna energia nie rozwiążą tego zadania w zupełności. Ale spodziewa się opinia publiczna uczynienia wszystkiego tego, co jest możliwe, napięcia wszelkich sił, wyzyskania wszelkich finansowych źródeł, stworzenia pewnej równowagi między dochodami a wydatkami państwa bez ograniczenia wydatków koniecznych dla kulturalnego i gospodarczego rozwoju kraju. Pan Biliński może być pewien poparcia sejmu w sprawach podatków, o ile obciążenie warstw społeczeństwa będzie sprawiedliwe i racjonalne.

Trzeba powiedzieć otwarcie, bez obsłon, że tym oczekiwaniom program p. Bilińskiego nie odpowiada. Niewiadomo, czy program wygotowany jest rzeczywistym programem nowego ministra. Może grunt warszawski jest zbyt dla niego nowy, śliski? Może uważa, że zanim nie ustali swego stanowiska, nie powinien powiedzieć jeszcze, nader wpływowym, posiadającym warstwom społeczeństwa, jakie je czekają ciężary i jak głęboko władze skarbowe muszą sięgnąć w ich kieszenie. Budżet zwyczajny w dochodach państwa winien znaleźć zupełne pokrycie.

Pożyczki minister zaciągnąć może na wydatki nadzwyczajne na inwestycje dochodowe, niestety, na koszt wojny i t. p., ale i odsetki tych długów musi pokryć dochód coroczny państwa.

Podstawą i głównem źródłem dochodów muszą być podatki bezpośrednie.

Powstające państwo, bez organizacji fiskalnej, bez skomplikowanego ustawodawstwa podatkowego, musiało, bez względu na skutki, ciągnąć konieczne fundusze z podatków pośrednich. Najłatwiej je było wprowadzić, najłatwiej ściągnąć, ale stan ten niemoże być trwały, nie może być zamieniony w system, pod grozą podkopania nowego bytu gospodarczego.

Podatek pośredni, to jest soliter pochłaniający z łatwością soki odżywcze organizmu, bez bólu i bez wstrząśnień, ale niszczący organizm tem niezawodnie.

Wysokie podatki pośrednie to nietylko przerzucenie całego ciężaru podatkowego na warstwy najsłabsze, najmniej odporne, ale to podrożenie nieznośne środków codziennej potrzeby, niezbędnych do życia, w rezultacie podrożenie kosztów produkcji, utrudniające lub nawet wykluczające naszą wytwórczość z rynku światowego. Kilogram cukru kosztuje dzisiaj w Niemczech 1 mk. 20 fen., kilogram soli — 24 fenigi, dwukilowy chleb ciemny, ale dobry — 1 mk. 35 fen., nafta, mimo podwójnych dla Niemiec przez Polskę pobieranych cen, znacznie tańsza niż u nas. Na tę wyższkę cen wpływ ogromny mają podatki pośrednie u nas pobierane.

Podatku pośredniego nie pobiera samo tylko państwo, pobiera je także sprzedawca, licząc swój zysk w stosunku do ceny towaru wraz z podatkiem, a podatek to często przekraczający kilkakrotność ceny towaru.

Pozostaje jeszcze wódka, której opodatkowanie natrafia na mniejszy opór ze względu na szkodliwość zdrowotną. Ale tu staje p. minister wobec koła błędnego: albo wysoki podatek wstrzyma ludność od konsumpcji, a wtedy mimo wysokiego podatku, dochód dla skarbu będzie nieznaczny, albo też ludność, mimo wysokich cen, oddawać się będzie używaniu napojów alkoholowych a wtedy wysokie podatki nie wpłyną dodatnio na zdrowotność ludności. Jeżeli wódka, jak z programu skarbowego wynika, ma być filarem budżetu, wtedy front rządu skierować się musi przeciw zwalczaniu pijaństwa.

Z tytuniem ma się rzecz podobnie. Śmiało zaryzykować można sentencję: im większe podatki pośrednie, tem trudniejszy rozwój gospodarczy.

Dawno zbite argumenty gorzelników o konieczności gorzelni dla rolnictwa, dziwnie brzmią u ustach ekonomisty miary naszego ministra skarbu. Pomówimy o nich szczegółowo. Wystarczy przeciwstawić gorzelni cukrownię.

Program ekarbowy p. Bilińskiego jest przystosowany do przedwojennych nastrojów psychicznych świata kapitalistycznego. Żądamy zaś programu, przystosowanego do powojennych stosunków życiowych *).

Herman Diamand.

Statystyka

czyli miara metryczna, w Warszawie.

Ludzie myślący nie rozumieją zwykle t. zw. „wielkiej“ prasy warszawskiej. Pochodzi to najczęściej stąd, że próbują ją — czytać. Inni oceniają ją wedle wielkiej ilości **papieru**, którą daje. Radzimy dla zrozumienia posługiwać się — **paskiem centymetrowym**. Miara metryczna, nowość w życiu naszej stolicy, oddaje tu wielkie i cenne usługi.

Prosimy dla przykładu wziąć do ręki numer „Kurjera Warszawskiego“ z niedzieli 5 października r. b. Prosimy przyłożyć pasek centymetrowy. Wówczas okaże się, że na 24 kolumny **dziennika**, 8 jest „**dziennikarskich**“ a 16 **inserterowych**. W okrągłych cyfrach napisali „dziennikarze“ w tym numerze 2550 wierszy, kupcy zaś, geszefciarze, interesanci wszelkiego gatunku „napisali“ 5100 wierszy. O ileż „cenniejsze“ są wiersze kupców i właścicieli kinematografów!

Cóż przyszło wydawcom „Kurjera“ z różnych „b. k.“ albo „wrrrrr...“ Trzeba ich opłacić, dokupić papieru, wydrukować i t. d. To dziś dość **drogie**, tak, że abonament i sprzedaż uliczna dają w rezultacie skromniejsze **dochody**. Za to część właściwa, część kupiecka! Policzmy:

6 kolumn po 360 wierszy, wiersz po 6 mk. = 12.960 mk.

10 kolumn po 360 wierszy, wiersz po 2 mk. = 7.200 mk.

Razem 20.160 mk.

Oczywiście, że tak może przemawiać tylko pasek centymetrowy. Są inseraty i grubo droższe. Dość, że jedna, szara niedziela października daje 20 tysięcy marek z samych inseratów wydawcom „Kurjera“. 52 razy 20 tysięcy = 1.040.000 mk. rocznie. I znowu zauważyć należy, że są niedziele o wiele, wiele lepsze. A gdyby dzień powszedni przyniósł tylko czwartą część niedzieli, to zawsze 300 razy po 5 tysięcy da sumkę 1.500.000 mk. rocznie. Razem: 2.540.000 mk. między braćmi!...

Pasek centymetrowy daje tu tylko gruby zarys paska inseratowego. Radzimy jednak zastosować go i do części „publicystycznej“, tylko wtedy bowiem można ją dokładniej i głębiej zrozumieć.

*) Nie poruszamy tutaj sprawy walutowej, którą będziemy mieli sposobność omówić osobno — H. D.

Syndykalizm inteligentów.

Zaszedł w Polsce fakt bezprzykładowy. Fakt, który nigdzie nie ma sobie równego. Świadczy on dowodnie o tym marazmie, w jakim wprost grzęźnie inteligencja polska.

Jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich, człowiek, który całe życie poszukiwał i poszukuje dróg wyjścia z tego domu niewoli w jakim znajdowaliśmy się dotąd, a nawet znajdujemy się jeszcze, wielki artysta, niezwykle czuły na różnorodne przejawy życia społecznego, słowem Stefan Żeromski, napisał książkę, właściwie broszurę p. t. „Organizacja inteligencji zawodowej“, rzecz tematem swoim już wysoce symptomatyczną, która wszakże przeszła bez wrażenia, nie wywołała echa.

Pisemko owo, jak je sam nazywa, jest, rzec można, listem otwartym do inteligencji polskiej, aby ją zbudzić z dotychczasowego snu.

Ale inteligencja nasza znajduje się widać w letargu, albo co gorszej, cierpi na marazm już — najkompletniejszy, albowiem porusza Żeromski zagadnienia tak ważne, tak wprost decydujące dla życia polskiego, że dziw doprawdy ogarnia, iż się nic nie mówi i nic nie pisze na tle tej sprawy.

Organizacja inteligencji zawodowej to nie tylko zsyndykalizowanie w ich własnych interesach ludzi pracy „duchowej“, lecz i zagadnienie kultury. Skoro inteligencja jest wykwitem działalności najsubtelniejszego aparatu w organizmie ludzkim, to również „inteligencja zawodowa“, będąca pewnym organem funkcji społecznych, jest bardzo ważnym czynnikiem życia zbiorowego.

Mniejsza o to czy inteligencja zawodowa stanowi elitę społecznego społeczeństwa, jak chce Paul de Rousiers, czy też jest zabytkiem szczątkowym, pewnym katecorematem politycznym, jak twierdzi bolszewik Bucharin, niezaprzeczonem jednak jest jedno: życie społeczne, pozbawione inteligencji zawodowej, uległoby zwulgaryzowaniu, społeczność pozbawiona pracy duchowej, a więc pozbawiona intelektualizmu, byłaby tylko grą bardzo materialnych, prymitywnych instynktów.

No, ale wtedy społeczeństwo cywilizowane cofnęłoby się wstecz do epoki życia stadowego. Obawiać się należy, że jesteśmy na tej drodze. Splot warunków bezpośrednio przez wojnę spowodowanych, tak się złożył, że ceniona jest jeno praca mięśni, niejako materialna.

Rozgrywa się walka sił. Aczkolwiek inteligencja jest obecnie niezwykle potrzebna, ale, co jest wprost paradoksem w chaosie chwili dzisiejszej, odgrywa ona rolę co najmniej drugoplanową.

Inteligencja naogół nie stanowi świadomego zespołu społecznego, jest bowiem różnego pochodzenia, a podrugie jednostki ją składające miały niejednakową stopę życiową, a więc różną skalę potrzeb

społecznych. A ponieważ potrzeby społeczne są wartościami, około których grupują się wyobrażenia zbiorowe grupy, przeto świadomość przynależności do jednego poziomu życiowego wytwarza świadomość klasową. Inteligencja nie miała jednakowego poziomu życiowego. Inteligencja również świadomości klasowej nie miała, nie była wyodrębnioną grupą społeczną, o zdecydowanej fizjognomji.

Ale co się dzieje? Oto inteligencja zawodowo pracująca ulega obecnie deklasacji. Ona się proletaryzuje.

Oprócz bezrobotnych, mających do zaoferowania pracę rąk czy swego grzbietu, istnieją również rzesze bezrobotnych swego rodzaju, sprzedające swe sily duchowe, zdolności myślowe.

Co gorzej! „Wojna w praktyce przekształciła stosunek wartości pracy umysłowej do pracy fizycznej — na korzyść ostatniej. Lekarz, inżynier, nauczyciel, prawnik, technik, sędzina, biurowiec, bankowiec, handlowiec, dziennikarz, artysta, literat czy inny jakikolwiek „koncepient“ musi za każdą fizyczną pracę — przeniesienie węgla z wozu do piwnicy, zrąbanie furi drzewa na opał, za przeprowadzkę gratów, za masło i mleko — płacić sumy, przekraczające niepomiernie jego budżet, czyli owe korony albo marki, jakie za swą pracę pobiera... Inteligent zawzięcie wszystko nicuje. Przenicowałby melonik i buty, gdyby tylko dały się wywrócić na drugą stronę, aczkolwiek majsterka nicujący zdarłby z niego wzamian za to ostatnie nicowanie, ostatnią już koszulę. Przeciętą, uczciwą masą inteligencji bytowaniem swem przypomina los guwernantki w szlacheckim dworze...”

A więc sam Żeromski stwierdza, że inteligencja zawodowa nie posiada wyraźnego, świadomego poczucia odrębności społecznej. Inteligencja wsiąka w różne partje polityczne, jest asymilowana przez rozmaite grupy społeczne z dwu zasadniczych przyczyn: inteligencja zawodowa genetycznie jest elementem nieokreślonym, rekrutuje się z różnych sfer społecznych o niejednakowym poziomie życiowym i wskutek właśnie tego miała niejednakowe potrzeby społeczne. Nie stanowiła więc klasy społecznej.

Wszakże dziś, kiedy inteligencja ta, która się zdeklasowała, sproletaryzowała, stanowi i prawdopodobnie stanowić jeszcze długo będzie zwarty obóz nędzarzy, sprawa wygląda inaczej. Jest bardziej złożona, i jest bardziej ważna.

Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności „tylko fizyczna praca jest uważana za pracę, tylko bezpośrednio materialne współdziałanie w wytwórczości daje człowiekowi prawo do zajęcia miejsca w społeczności, zaś wartość pracy duchowej, psychicznej, jeśli się nie neguje, to w najlepszym razie uważa się ją za nie wiele znaczącą”.

Ale, jak słusznie zauważył kiedyś rosyjski pisarz M. Bierdiajew, państwo pracy winno być oparte na zasadzie pracy jakościowej.. A więc na zasadzie, która mierzy wartość wynikiem, treścią. Czyli

praca ducha winna zostać równouprawnioną, ile że stwarza niejednokrotnie wartości wyższej kategorii.

Życie wysuwa nowe zagadnienia. Wskutek społecznych anarchizujących warunków, wytwarzają się zawody, a nawet grupki wśród zawodów uprzywilejowanych w klasie robotniczej. Powstają grupy uprzywilejowane, której interesy często nie są interesami ogółu pracującego. Takie grupy niejednokrotnie tylko przez nazwę i tradycję zachowują spójnię z klasą robotniczą.

Z drugiej znów strony wylania się z obecnego zamętu nowa warstwa, nowa zbiorowość społeczna: proletariat inteligencji zawodowej, tym tylko różny od istotnej klasy robotniczej, że jest warstwą nieorganizowaną i nieświadomą.

Sprawa jest niesłychanie ważna i z punktu widzenia ogólnych, społecznych interesów, jak również posiada doniosłe dla polskiej kultury znaczenie.

Wielką jest zasługą Żeromskiego, że, uświadomiwszy to sobie, wyprowadził tę kwestję na światło dnia. Powiedział to głośno i publicznie, na co wielu pokątnie a kameralnie narzekalo.

Żeromski zrobił swoje. Zrobił to, co mógł zrobić artysta, pisarz polski.

Ale czy społeczeństwo go zrozumiało. Czy inteligencja zawodowa ocknęła się ze swej... bierności, niemrawości?

Gdzież są ci, co widzą niebezpieczeństwo? Co chcą radzić, dają radę, dają czyn?

Dlaczego nikt nic nie mówi, nikt nic nie pisze?

Wl. Wolert.

Oleandry.

Pierwsza kadrowa już wyszła. Żegnaliśmy ją, jak straceńca. Następnej nocy myśmy mieli wyruszyć i również byliśmy pewni, że zginiemy.

Jest to uczucie każdego rekruta, szczególnie w początkach wojny. Nadaje ono wrażeniom chwil ostatnich moc winą.

Błądziliśmy po ulicach Krakowa w ten dzień sierpniowy, gorący z sercem pełnem podniosłego, słodkiego wzruszenia. Wzrokiem tkliwym i rozkochanym spoglądaliśmy na zakurzone, szare mury, na powszednie postaci stroskanych ludzi, na odwieczne kamienne kordonki Sukiennic i Panny Marii...

— Za was umrzemy!... — szeptały nam dusze nasze w cichem skupieniu. — Za wasze trwanie... za waszą wolność, za wasze szczęście, za waszą szlachetność, za waszą godność, za waszą piękność, dumę i siłę!...

Co wobec tego znaczyły drobne osobiste sprawy, interesa, ambicje, rachunki?...

— Nie masz, obywatelu?... Bierz, ja mam dwie pary!...

— Pieniędzy?... Oto portmonetka!

Chcesz: rozkazuj!... Byle dobrze!... Pokaż, co umiesz!

Wracaliśmy z kolegą do Oleandrów w niezmiernie szczęśliwym usposobieniu, gdyż zdążyliśmy „przylapać“ ostatnią parę amerykańskich kamaszy w opróżnionym do ostatniej szuflady składzie obuwia. Wiadomo z uwag regulaminu piechoty, że piechur w nogach nosi swą wartość i cnotę; to też młody kolega mocno tupał po chodniku nowymi butami i mówił z upojeniem:

— Boskie!... Nie czuję ich... Wprost, jakby kto zdarł mi z nóg skórę i drugi raz ją nadział!... Będę maszerował... Oho!...

— Tak, to rzecz ważna!... Nie będzie odcisków i odparzeń!... Mimo to radziłbym kupić łoju salicylowego!...

— Słusznie. Tylko, że późno już. Zaraz będzie zbiórka. nie zdążę! A jutro, jutro o świcie będziemy daleko!

Umierał złoty dzień, barwiąc niebo na zachodzie szeroką raną zorzy. Fiołkowe mgły już powlokły wilgotne błonia i zielen drzew pociemniała na laur. Gwar miasta jakby przycichł na chwilę... Patrzałem na cudny błękit firmamentu, szukając błysku pierwszych gwiazd; wtem zawołał mnie ktoś po imieniu. Obejrzałem się i spostrzegłem dwie młode, elegancko ubrane kobiety, śpieszące ku nam wpoprzek ulicy. Odrazu poznałem w wyższej paryską znajomą. Szła lekkim krokiem wysmukła i zgrabna, uśmiechając się z pod głębokiego ronda słomkowego kapelusza.

— Jak to dobrze, że pana spotykam!... Właśnie szukamy... Pan już w mundurze? Doskonale, pan w mundurzel!... Pan nas weźmie w opiekę?... Teraz już się wszędzie dostaniemy?... Nie prawda?... Tu tak się wszyscy śpieszą... Nikt nie chce odpowiadać!... Jużesmy tam były, ale nas nie wpuszczono!...

Kiwnęła głową w stronę Oleandrów.

— Widzi pani: był ogromny zamęt... Hotel jakiś a nie koszary... Od rana do nocy tłumy gości, panów, pań, dzieci, więc wydano rozkaz — tłumaczyłem.

— Rozumieme, rozumiem... ale przecież ja muszę zobaczyć się... Ogromnie ciekawa jestem zobaczyć Władka w mundurze...

— To pani go nie widziała?...

— Ależ nie!... Byłam na wsi... Przed chwilą przyjechałam... Nie zdążyłam się nawet przebrać! — dodała z lekkim rumieńcem zażenowania.

Milczałem, czując, jak mocno zaczyna mi bić serce.

— Więc idziemy!... Niech mi pan przedstawi swego kolegę, taki bardzo jakiś młody...

— Kiedy nie wiem, jak się nazywał!... — szepnąłem cichutko.

- Ha, ha!... A wyglądało, jakbyście byli odwieczni przyjaciele...
— W wojsku szybko zawiera się znajomości...
— No, a Władek? Co Władek?... Czy on jest razem z panem?...
— Tak, był razem ze mną.
— Był, więc już nie jest?... Przeniósł się do innego oddziału?...
— Władka wcale niema!

— Jakto niema?... Przecież pisał do mnie...

Utkwiła we mnie wylękle oczy.

— On odszedł, wczoraj odszedł w pierwszej kadrowej...

— Odszedł?! Nie może być!... Przecież się ze mną nie pożegnał... Odszedł... z pierwszą kadrową... — Szeptala cicho, coraz ciszej.

Jej twarz śliczna, podobna do kwiatka, jej rumieńce płatków róż polnej, żywy koral cudnie wykrojonych ust, pobladły nagle, pomierchły, zszarzały, jakby na płomień życia płonący pod nimi opuścił ktoś niespodzianie stalową zasłonę. Habrowe oczy zaszklily się i zbieleły w oprawie szeroko otwartych czarujących rzęs.

— Odszedł, odszedł...

— Wszyscy odejdzimy. Ileż razy mówiliśmy o tem, marzyli...

— Tak, tak!... Mówiliśmy o tem...

Zrobiła ruch ręką, jakby chciała się oprzeć o pień pobliskiego drzewa.

— Może usiądziemy na ławce...

— Nie, nie!... Nie trzeba... Ja zaraz... Pójdziemy. Może zostały jakie rzeczy... Może list?...

— Rzeczy zapewne zostały, ale list... Wątpię, aby miał czas napisać. To się stało tak nagle i tyle było roboty... Zresztą... niewolno!

— Niewolno?... Przecież ja...

— Niewolno nikomu.

— Nikomu! — powtórzyła jak echo.

— Pani rozumie?

Kiwnęła głową.

— Sam poszedł? — spytała drgającymi ustami.

— Wybrano najsilniejszych. Ale każdy... mógł się cofnąć!

— Dałabym mu, dałabym mu! — przerwała mi dawnym butnym tonem paryskiego „gamin’a“.

Podniosła w stronę Oleandrów ściśniętą piastkę w jasnej rękawiczce.

Na twarz zwolna wracały jej barwy, uśmiechnęły się filuternie wilgotne usta.

— Dałabym mu, oj, dała, gdyby nie poszedł! — powtarzała z brawurą.

Ale szeroko otwarte, nie migające i zmętniałe oczy, patrzyły dalej w głąb ulicy, tonącej w krwawej zorzy, śledziły tam niknącą postać, której już nie ujrzą, nie ujrzą!...

Wacław Sieroszewski.

Z Korfancji.

Niejednokrotnie wskazywano na dziwne zachowanie się Poznańskiego. Zastanawiała wielu ta separacja, jakiej się stale Poznańskie trzyma. Zresztą pod tym względem w Poznańskim posiadają osobliwe poglądy. Rząd polski niema prawa ingerować na terytorjum Poznańskiego, no ale Poznańczycy mają prawa: w Sejmie, w rządzie, w stolicy...

Atoli fakty, które ujawniły się w dniach ostatnich nasuwają pytanie niepokojące: co będzie dalej?...

Oto adwokaci poznańscy czekają ze sprawami kasacyjnymi, aż je będą mogli przesłać do Lipska czy Berlina.

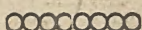
Nie dość tego! rejenci Polacy w Poznaniu nie chcą sporządzić aktu w języku polskim, bo językiem urzędowym jest — jak twierdzą — język... niemiecki!!

Natomiast rejent Niemiec, do którego się w tej sprawie zwrócono powiedział, że akt po polsku mógłby sporządzić, ale języka polskiego nie zna.

Co będzie dalej?!

Ano może Poznańczycy sami zażądają jeszcze plebiscytu i kto wie, może opowiedzą się nawet za Rzeszą Niemiecką, boć nawet czas kolejowy narychcowali wedle Berlina, wskutek czego o mało nie doszło do katastrofy kolejowej.

Kto wie?



Sztuka a Socjalizm

Estetyczne miary wartości.

Trudno pomyśleć większe przewartościowanie wszystkich wartości niż to, które odbywać się musi w duszy niekulturalnego, t. zw. człowieka z ludu (wybaczenie, że używam pojęcia tak nieokreślonego), gdy wprowadzamy go do teatru lub galerji obrazów. Mówimy mu przedtem, że stanie wobec szczytów kultury, że, jeśli zdoła przeniknąć znaczenie tych spraw, przejdzie wtajemniczenie najwyższe.

Wchodzimy do galerji obrazów. — Obok Chrystusa, konającego na krzyżu wiszą żarłoki i pijaki, siedzący przy suto zastawionym stole; dalej Madonna z dzieciątkiem w sąsiedztwie tłustego cielska kobiecego, co rozwalilo się na trawie w oczekiwaniu satyrów; tam znowu zwierzęta i aniołowie, oprawcy i święci — przeważają jednak, znakomicie przeważają nad wszystkim — kwiaty, pióropusze, konie, szaty królewskie i wystrojone lub nagie kobiety.

Co wspólnego ma ten Chrystus z tłustymi żarłokami, co wspólnego ma wcielenie czystego macierzyństwa z rozwiozłością — — pyta widz zdumiony — lecz krytykować tego nie śmie, bo wszak to

szczyty są kultury. — To też usilnie chce on zrozumieć te rzeczy i przystosować się do tego sposobu ujmowania życia. Wszystko to jest piękne — odpowiadają mu na jego zapytania. — Dzieła zgromadzone tutaj mają to wspólne, że wszystkie są piękne, a piękno — to najwyższa miara wartości. Treść tych malowideł zgola może nas nie interesować.

Nowicjusz jednak nie rychło mógł się przystosować do tego sposobu sądzenia i po przez piękno szukał duszy człowieka, dzieła te malującego, szukał także duszy tych, dla których były one malowane i stwierdził, że nad wszystkim przeważają, znakomicie przeważają — kwiaty, pióropusze, konie, szaty królewskie i wystrojone lub nagie kobiety. — Nad wszystkim przeważa zbytek zewnętrzny, barwność tkanin i kamieni, zmysłowość wypiękniona. — Czyżby ta barwna zewnętrzność, ten połysk, miły duszom płytkim, był tu tonem panującym? A może dusza tych wszystkich ludzi malujących, patrzących i ceniących te rzeczy jest właśnie duszą rozmiłowaną w zmysłowości i błyskotkach? Takie powstają w nim pytania, lecz nie śmie na nie odpowiadać, bo przecież poddać się musi wielkiemu wtajemniczeniu, ma pono podnieść się do czegoś, co było mu nieznane dotychczas.

Z galerji przeszedł do teatru i widział, jak ten sam aktor był jednego dnia wzniosłym bohaterem i nazajutrz podstępny nikczemnikiem, a publiczność jednako za każdym razem oklaskiwała go. Widział, że po tej samej scenie chadzają, jednaką czią otoczone: cnota i występpek, prawda i kłamstwo, zło i dobro, rozum i głupota, rzeczy szkodliwe i pożyteczne, skromność i sprośność — a publiczności wszystko jednako się podoba. Najbardziej jednak podobają się — i tych jest znowu najwięcej — rzeczy zewnętrznie barwne, kostjumy, dekoracje, nagie lub pół nagie kobiety, wymyślne konania lub niemniej wymyślne męki wewnętrzne.

Gdy począł czytać książki, znalazł mniej więcej to samo, co w teatrze, jeno tutaj słowo pisarza spełniać musi pracę kostjumera, dekoratora i aktora.

Jeśli tkwiące w nim wartości wrodzone nie są dość mocno ugruntowane, powoli poddawać on się zaczyna tym miarom nowym. Wszystko zlewa się teraz dla niego w jeden chaos, wszystko posiada znaczenie takie samo: — zdrada może być równie interesująca, jak śmierć za własne przekonania, podstęp nie mniej ciekawy, jak szczerą prostolinijność, a czystość niepokalana tak samo pożądana jak rozwiązłość lubieżna — byleby tylko wszystko podane było w formie pięknej, niby w ramach dostrojonych do treści.

Tak zapanowuje estetyczny pogląd na świat, przyjęte zostają estetyczne miary wartości.

Czy życie posiada jakiebądź znaczenie, czy zmierza ku czemu, czy można w nim odróżnić dobro i zło, czy można mówić o kierunku

właściwym i o zboczeniach?... Wszystko to pytania, które odrzuca esteta. On stoi zawsze po tamtej stronie dobra i zła, mierząc wszystko poczuciem smaku i wzajemnego zestrojenia części.

Najwyżsi z nich podnoszą się do ujmowania świata, jako zgranej całości, czegoś w rodzaju orkiestry sprawnie prowadzonej. Nic tu nie należy zmieniać, ku niczemu nie potrzeba się wdzierać, ani o nie walczyć; dość jest słuchać, wsłuchiwać się i rozkosznie kołysać się na harmonijnych falach dźwiękowych. Jeśli zaś są rozdzźwięki, czy może nawet jęki, należy przekonać je, że powinny dostroić się do całości, aby zgodnie dźwięczał chór.

Niżsi zaś nie sięgają tak szeroko i poprostu ujmują życie własne, jako pewnego rodzaju turystykę po świecie, który barwnymi lub ciekawymi obrazami przesuwa się przed oknami pociągu.

Zawsze przytym mają się za istoty rodzaju wyższego i ze społeczącym politowaniem spoglądają na tych, którzy nie dostąpili właściwego im wtajemniczenia. Dobro i zło, dążenia, walki i wysiłki — wszystko to jest w krainach znacznie niższych, niż to empyreum, w którym przebywa esteta.

On patrzy na świat z okien zamku, położonego na wysokiej górze, z pokładu statku, z lotu samochodu, przebiegającego poprzez wsi i miasta, — zależnie od czasu i miejsca — zawsze jest niedostępny troskom przyziemnym, zawsze wyższy nad rozróżnienia i miary, masami rządzące, zawsze — według swego mniemania — obcujący z rzeczami czystymi, z samą niebiańskością.

Jednego tylko nie dostrzega on — że domniemana niebiańskość jest zwykłe tylko powierzchownym upojeniem zmysłowym, że piękno — to jego piękno — jest barwną i kształtną połyskliwością, jest tylko marmurem, złotem lub miękką tkaniną, za którą niemasz treści — i wreszcie — że domniemane wyniesienie się nad dobro i zło jest nieświadomym, głuptaskowatym życiem z pracy poddanych, gdy się było panem zamku na wysokiej górze, lub życiem z pracy najemników, gdy się jest estetycznym rentjerm społecznym.

Kiedy zapanowują miary estetyczne? Dzięki czemu, w jakich okolicznościach odbywa się masowe przesunięcie wartości w kierunku wyłącznie lub przeważnie estetycznym.

Odpowiedź krótka. W okresach schyłkowych, w okresach konania i przekwitu epok dziejowych *).

Taką jest Grecja w czasach filozofów krytycznych i poetów, kiedy wydawała ostatnie kwiaty długo trwającej przedtym twórczej

*) „Pośród tego rozkładu powszechnego wszystkich rzeczy duchowych, którego jesteśmy świadkami, jedna tylko sztuka zachowuje pewne znamiona duchowości. Posiada ona swe zasady i tajemnice, niedostępne jeszcze tłomaczeniom intelektu. Dla pewnych ludzi sztuka jest wciąż jeszcze kultem —

epoki bohaterskiej. Taki—na miarę olbrzymia—jest Rzym w epoce cesarów, kiedy konała starożytność i wartości chrześcijańskie dopiero zdobywały świat. Taka jest nasza społeczność europejska, kiedy świat stary rozprzega się na wszystkich spoidłach, a nowy nie narodził się jeszcze.

Taki sam wreszcie — pomimo swych powikłań, — jest okres tak zwanego „odrodzenia“. — Powiadam — pomimo swych powikłań — ponieważ okres ten bynajmniej nie może być uważany za czystą epokę schyłkową: nowe lądy, nowe kraje, nowe prawdy i nowe grupy społeczne wchodzi na widownię. Jednocześnie jednak jest to początek wielowiekowego konania chrześcijaństwa i wielki finał rozkwitu miast włoskich.

Znamieniem okresu schyłkowego jest panowanie klasy uprzywilejowanych próżniaków. Jawią się wówczas liczne grupy ludzi, czujących się jakby wolną pianą na żywej i jędrnej fali ustroju społecznego; ludzi posiadających tylko prawa bez jakichkolwiek obowiązków; ludzi, którym się zdaje, że ich zadanie życiowe polega na nieustannym używaniu, na bawieniu się, na mędrkowaniu wreszcie.

Tworem tej klasy jest estetyczny pogląd na świat i wyłącznie estetyczne miary wartości.

Gdy kończy się okres schyłkowy, gdy nowe zaczyna się życie, bledną oni i gasną, niby światło lamp na stole bankietowym, gdy zatonie je promienie słońca wschodzącego.

Jan Hempel.

Dwa listy.

I.

Biuro Narodowe Partji Socjalistycznej

220 South Ashland Belvedere, Chicago, Illinois.

12-go lipca 1919.

Kochany Towarzyszu!

Zwracam się tym listem do Was i do pewnej liczby liberałów, przedstawicieli pracy i socjalistów Anglii, Francji, Belgji, Holandji, Polski, Szwajcarii, Hiszpanji, Włoch, Norwegji i Szwecji.

jedynym, któremu ośmielają się oddawać. Wielcy artyści, choćby nawet byli wyznawcami materializmu, zachowują. pomimo wszystko, jakieś poczucie, czy wspomnienie podstawowych prawd religijnych“. A. Mickiewicz — „Lit. Słow.“ — lekc. z dn. 30.I 1844.

Celem moim jest zwrócić uwagę na smutne stosunki, panujące w Ameryce, po naszej zwycięskiej wojnie, która miała utorować w świecie drogę dla demokracji. Jesteśmy przekonani, że klasy rządzące żadnego innego państwa nie wykazały w swych prześladowaniach takiej stronnictwości na korzyść bogaczy i takich niecznych napaści na przedstawicieli organizacji klasy pracującej, jak tego byliśmy świadkami w tym kraju w początku wojny. Pod przykrywką t. zw. prawa o szpiegostwie i innych ustaw wojennych, tysiące obywateli było prześladowanych przez prasę plutokratyczną i skazywanych za przekonania polityczne, działalność przemysłową lub wierzenia religijne. Wydawano i wydają wyroki straszliwe, opiewające na okresy czasu od 5 do 25 lat; nie zapowiada się zmiana na lepsze. Przeciwnie w kilku Stanach i w Kongresie Narodowym przyjęto lub przygotowuje się prawa bardziej krępujące niż te, które istniały przed wojną, pod nazwą prawa, zwalczającego walkę z rządem, lub innymi tytułami, przyczem wszystkie są skierowane przeciwko ludziom pracującym i ich organizacjom.

Z górą 2.000 obywateli znajduje się obecnie w więzieniu za wyrokami, które w sumie wynoszą około 25.000 lat. Ci mężczyźni i kobiety nie są uważani za więźniów politycznych, tylko za przestępców kryminalnych i są narażeni na szykany, przekraczające wszystko to, co spotyka zwyczajnego kryminalistę.

Eugenjusz W. Debs, czterokrotny kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych z listy socjalistycznej, za wypowiedzenie jednej mowy, w której nie atakował rządu, ale napadał na paskarzy — odsiaduje 10-letni wyrok w więzieniu federalnym w Atlancie (Georgja). Liczy on 63 lata i w ciągu kilku ostatnich lat niedomagał, mimo to, zmuszony jest pracować codziennie 6 i pół godziny w Wydziale ubrań, a przez 14 godzin z rządu jest codziennie zamknięty w celi odosobnionej.

Pani Kate Richard O'Hare, kiedyś sekretarka Międzynarodowego Biura Socjalistycznego, matka czworga dzieci, odsiaduje 5-letni wyrok w Państwowym więzieniu w Jefferson (Missouri), gdzie jest zatrudniona przy sporządzaniu okryć męskich.

Wiktor L. Berger, ongi członek Kongresu, wybrany obecnie ponownie, w styczniu tego roku był sądzony i skazany na termin 20-letni w federalnym więzieniu w Leavenworth, Kansas. Z nim byli sądzeni Irwin St. John Tucker, autor, mówca i kaznodzieja; J. Louis Engdahl, wydawca „Amerykańskiego Socjalisty“, William F. Kruse, sekretarz Ligi Młodzieży Socjalistycznej w Ameryce i niżej podpisany, przyczem wszyscy otrzymali jednakowe wyroki z Wiktorem L. Bergerem.

Nie przemawiamy tu w swoim imieniu i chciałbym specjalnie, aby znane było stanowisko Towarzysza L. Debs, że nie życzy on sobie, aby były czynione dla niego starania osobiste lub było uzyskane ulaskawienie, dopóki wszystkie ofiary wojny nie będą uwolnione.

Przemawiamy o wolność tysięcy i o przyszłe bezpieczeństwo dla towarzyszy naszej pracy i życzeniem naszym jest, abyście nadali tym faktom możliwie szeroki rozgłos. Mamy nadzieję, że zechcecie również osobiście napisać list do Prezydenta Wilsona, domagając się uwolnienia więźniów politycznych w Ameryce i że skłonicie tyle organizacji, ile tylko możliwe, aby poszły tą samą drogą.

W nadziei, że zdajecie sobie sprawę z ważności tej akcji i z konieczności szybkiego działania, pozostaję, przesyłając najlepsze życzenia z braterskim pozdrowieniem (—) Adolf Azermer,

Sekretarz Narodowy.

P. S. Prosimy o nadesłanie nam odpisów wszystkich listów i depeš, jakie wysłacie w związku z tą sprawą. Bylibyśmy również wdzięczni, gdybyśmy mogli otrzymać odpisy odpowiedzi.

Do IGNACEGO DASZYŃSKIEGO

p. a. „Naprzód“,

Kraków, Polska.

II.

Panie Prezydencie!

Mam zaszczyt załączyć do mego listu kopję pisma, które niedawno otrzymałem z Chicago.

Posłuszny głosowi rozpacz i protestu, który dochodzi nas z tamtej strony Oceanu, zwracam list mój do Pana, Panie Prezydencie, jako do wybranego szefa wielkiego narodu.

Od owego pamiętnego dla nas socjalistów polskich roku 1885, kiedy dzielny publicysta amerykański, p. Jerzy Kennan przysłużył się sprawie ludzkości męskim i odważnym piórem, opisując tragedję więźniów politycznych na Syberji, Stany Zjednoczone nieraz podnosiły głos w obronie prześladowanych i gnębionych w Europie. Orędzia zaś Pańskie, Panie Prezydencie zdawały się torować drogę wolności, otwierać bramy więzienia całemu narodowi europejskim.

Dzisiaj bezpośrednio po ukończeniu wojny światowej dochodzi do nas z tychże Stanów Zjednoczonych głos rozpacz tysięcy więźniów, zasądzonych na dziesiątki tysięcy lat więzienia za swoje przekonania społeczne. Są to wyroki sądów wydane na podstawie ustaw.

Daleki od tego, abym ośmielił się wyrazić tutaj moje osobiste zdanie o tych ustawach i o wyrokach na nich opartych, przylączęm się jednak do tych obywateli, dla których cierpiąca ludzkość nie jest oddzielona granicami nie-naruszalnemi i którzy zechcą wraz z tak jak i ja myślącymi, zwrócić światłą uwagę Pańską na okropne rezultaty tego masowego wymiaru sprawiedliwości i zaapelować do wielkiego serca Pańskiego o ich usunięcie lub znaczne złagodzenie.

Stany Zjednoczone wzięły udział w wojnie światowej w obronie wolności ludzkiej. Czyżby rezultat wojny pomnożyć miał tak straszną niewolę w samych Stanach Zjednoczonych? Genjusz amerykański, któremu Pan dałeś tak świetny wyraz w całym cywilizowanym świecie, pokona z pewnością i tę sprzeczność. Ale kto wróci wolność tym tysiącom obywateli w Ameryce, mającym ją postradać na dziesiątki lat? Kto w tych obywatelach ośmieli się widzieć nic więcej, jak tylko kryminalnych przestępców? I czegoż oczekiwać mają ludzie walczący o swoje ideały społeczne w Europie, zasypanej jeszcze gruzami świeżo obalonych tyranji, jeżeli wolna Ameryka tysiącami lat więzienia karze ludzi takiego typu, jak Eugenjusz W. Debs?

W imię tego samego wielkiego dzieła pokoju, któremu Pan, Panie Prezydencie, służysz z największym wysiłkiem, łączę głos mój z tymi, którzy proszą Pana usilnie o spowodowanie zmiany na lepsze losu tych tysięcy, walczących za swoje ideały obywateli Ameryki, dla których era pokoju ma się zacząć od wieloletniej niewoli.

Głęboki szacunek, jakim otoczone jest imię Pańskie w świecie, dodaje mi dowagi, że głosy takie, do Pana zwrócone, będą wysłuchane i sumiennie rozważone.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego poważania

Ignacy Daszyński.

Przewodniczący Związku Polskich Posłów Socjalistycznych
Sejmu Polskiego.

Warszawa, we wrześniu 1919 r.

Do Pana Prezydenta

Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej

Woodron Wilsona

w Washingtonie.

Max Lindner żyje!

Ulubieniec wielkiej, międzynarodowej publiczności, czerpiącej z białego ekranu humor i pociechę w tych czasach bolszewików, bandytów i ministerjum aprowizacji, **Max Lindner**, bohater Kina żyje... Warszawa będzie miała sposobność oglądania zmartwychwstałego Maxa Lindnera w...

Dwa plakaty z 15 lipca r. 1919 w mieście polskiem:

Mniejszy: Rodacy! W 509 rocznicę Jagiellowego czynu... żmija krzyżacka rozdeptana... nabożeństwo w kościele...

Większy: „Max Lindner zgubił szelki“.

Interpelacja

**posła Daszyńskiego i tow. do Rady Ministrów w sprawie
ciężkich nadużyć w Ministerstwie Poczt i Telegrafów.**

Za rządów Pana Ministra Huberta Lindego zagnieździła się i rozrosła w niektórych działach urzędowania w Ministerstwie Poczt i Telegrafów niebywała i wielce szkodliwa demoralizacja w sferach urzędników najbliższych Panu Ministrowi. Sam Pan Minister Linde, fachowy urzędnik pocztowy w dawnej Galicji uprawniał do nadziei, że powierzone mu Ministerstwo podniesie do wysokiego poziomu pojmowania obowiązków służbowych, że jako rutynowany urzędnik da najlepszy przykład swoim podwładnym, że wyrobi w nich poszanowanie dla dobra państwowego i usunie te smutne tradycje, jakie zostały po dawnych najeźdźcach w sferze urzędniczej w Polsce. Zachowanie się jednak Pana Ministra Lindego i najbliższych mu ludzi, wysokich urzędników pocztowych, cieszących się jego poparciem i protekcją, jest tego rodzaju, że przypomina najgorsze czasy nadużyć, złodziejstw, niemal zbrodni kryminalnych, które uprawiają się w najwyższym zarządzie poczty.

Nienawistna, nieprzebierająca w środkach gwałtów agitacja z góry przeciw uznaniu statutu dla olbrzymiego już dzisiaj Związku zawodowego urzędników Poczt i Telegrafów, brutalne prześladowanie jego funkcjonariuszy, będą przedmiotem osobnej interpelacji. Niebywałe, prowokujące awanse służbowe niektórych ulubieńców pana Ministra, przypominające najgorsze wzory z republik południowo - amerykańskich, zostaną również w Sejmie należycie oświetlone. W dzisiejszej interpelacji chcemy wskazać na szeregi faktów kryminalnej natury, połączonych z miljonowymi stratami dla Państwa, faktów dzikiej spekulacji markami pocztowymi, godnej jakiegś „czarnej giełdy”, jakiegś spelunki handlarzy, a nie instytucji rządowej.

W pierwszych dniach kwietnia 1919 roku ofiarował Pan Minister Linde stowarzyszeniu humanitarnemu „Biały Krzyż” makulaturę marek pocztowych różnej wartości, w czterech partjach, łącznie wartości nominalnej około półtora miliona marek. Ofiarował bez uchwały rządu własnowolnie wartość, która, jak się okaże, bya nie tylko wielomiljonowa, ale wprowadziła, rzucona na targ marek pocztowych, taką sposobność dla każdego złodzieja, będącego w spółce z handlarzami marek pocztowych — filatelistami, że powstał stąd dogodny grunt dla orgii spekulacyjnej, którą rozpętał Pan Minister Linde.

Pan Linde kazał odesłać „Białemu Krzyżowi” miljonowe wartości państwowe, nie żałując nawet przeliczyć marek, mówiąc: „Niech się tam z tą makulaturą bawia”.

„Biały Krzyż” zawarł z kupcem filatelistą, panem Franciszkiem Wróblem umowę, mocą której pan Wróbel miał prawo do kupienia wszystkich marek do wysokości ceny kilku miljonów, a narazie złożył kaucję 10 tys. marek. Jakie zyski osiągnąć można było ze sprzedaży marek, okazuje fakt, że pan Wróbel miał płacić za najpospolitsze marki zwyżki 10% ceny nominalnej, a przy najrzadszych okazach zwyżka dochodziła do 500%. W ten

sposób rząd poparł w wybitny sposób dziką spekulację filatelistyczną, podobną w istocie swojej do najsmutniejszych objawów obłędu gry, przeciw któremu każdy rząd powinien ostro występować. Napróżno Szeł Sekcji III, pan Tolloczko protestował przeciw podobnemu postępowaniu rządu, napróżno Szeł Wydziału XV, p. Młodzianowski przedkładał swemu przełożonemu swoją dymisję. Pan Linde rozporządzenia swojego nie cofnął. Dopiero gdy marki z „Białego Krzyża“, wbrew umowie z panem Wróblem zaczęły się masowo pojawiać na targu, gdy pan Wróbel zaniepokojony o swój interes rozpoczął energiczne poszukiwania, gdy wdała się w sprawę policja, zatrzymano resztę makulatury w magazynach Ministerstwa. Ułatwiano handel „Białemu Krzyżowi“ i w ten sposób, że niegumowaną makulaturę na żądanie „Białego Krzyża“ gumowano w Ministerjum.

Niepoczytalny czyn pana Ministra przyniósł natychmiast skutki, bo oto dwaj urzędnicy M. P. i T., pp. Olesiak i Skotnicki, dowiedziawszy się jakie doskonale interesy można robić z markami Państwa Polskiego, ukradli 70 arkuszy dużych, za co obecnie znajdują się w więzieniu śledczym.

Drugim czynem pana Ministra Lindego, graniczącym z kryminalną już odpowiedzialnością, jest postąpienie jego w sprawie t. zw. marek sejmowych. Na wiosnę r. b. wypuściła poczta 6 odmian marek sejmowych z portretami Naczelnika Państwa, Prezydenta Ministrów i Marszałka Sejmu. Kiedy powstały z konieczności usterki druku w drukarni marek, wówczas pan Minister Linde, zwiedzając drukarnię i zobaczywszy próby odbitek na kredowym papierze, kazał dla siebie panu kontrolerowi Czarnowskiemu sporządzić odbitki na tym papierze także innych wartości marek sejmowych. Następnie kazał przynieść do swego biura. W ten sposób znalazło się w rękach pana ministra 480 różnych marek za kwitami podpisanymi przez pana Lindego, a oprócz tego do 20 marek otrzymanych przez pana Ministra bez pokwitowania. Jakie wartości znalazły się w rękach fachowego Ministra Poczty, znającego przecież handel markami, o tym niech zaświadczy jaskrawy fakt, że za jedną tylko z trzech wielkich odbitek Marszałka Sejmu, zapłacić miano 12 tys. dolarów dla wywiezienia ich do Ameryki, co wynosiłoby około 400.000 marek. Przeciętą zaś wartość marek, które znalazły się w ręku Ministra wynosi około trzech do czterech tys. marek za sztukę, a za kilka lat wartość takiej marki może wzrosnąć do kilkudziesięciu tysięcy. Można bez przesady twierdzić, że w ręku Ministra znalazły się miljonowe wartości, nabyte przezeń za kilkadziesiąt marek. Jak familjarnie traktował Minister pocztę sprawę marek pocztowych, niech zaświadczy fakt następujący: kiedy brat pana Ministra wyjeżdżał za granicę, kazał pn Linde dostarczyć sobie dla niego po 10 arkuszy wszystkich marek sejmowych przed wypuszczeniem ich do użytku urzędowego. Ponieważ mniejsza odbitka marki z Marszałkiem Sejmu była jeszcze w stadium próby, więc przedstawiono tę okoliczność panu Ministrowi. Pan Minister nie zawahał się ani chwili i wziął dla swego brata 200 sztuk „Małego Trąmpeżyńskiego“. Kiedy później okazało się, że „Mały Trąmpeżyński“ nie udał się w druk i puszczono w rezultacie nieco większy format tej marki, brat pana Ministra znalazł się w posiadaniu marek nie-

zmiernej rzadkości, których wartość będzie kolosalna. Marki te ma obecnie tylko Rząd Polski i pan Linde senior!

Egzemplarze wspomnianych marek, znajdujących się wyłącznie w rękach Ministra Poczt i Telegrafów znalazły się po pewnym czasie na rynku marek pocztowych, gdzie wywołały szaloną radość wszystkich handlarzy, osiągających olbrzymie zyski. Polski Minister ożywił niezmiernie całą zgraję międzynarodowych pasożytów. Jaką drogą marki z rąk Ministra przeszły do handlu? Tu rozpoczyna się sfera podejrzeń i domysłów, które rząd musi wyjaśnić i ustalić drogi, któremi te miljonowe wartości chodziły; w przeciwnym bowiem wypadku otworzy się na oścież bramy dla każdego złodzieja, rzuci się zarzewie podejrzeń na każdego urzędnika pocztowego mającego coś wspólnego z markami. Żądamy tego kategorycznie. Śledztwo policyjne prowadzone przez pana Kuratowskiego ustaliło dosyć faktów wskazujących na to, kto puszczał w kurs marki pana Lindego. Schwytano dziesiątki egzemplarzy tych marek w Krakowie u handlarzy w blokach, świadczących o masowym ich handlu. A kolportowano ze sfer bliskich Ministrowi podejrzenia, że pan Minister obdarowywał poszczególnych posłów sejmowych takimi markami i że to posłowie uprawiają handel podarunkami pana Ministra zmusza i Sejm do jaknajrychlejszego wyjaśnienia tej sprawy. Cóż by powiedziano na przykład o Ministrze finansów, któryby z makulatury banknotów tysiącomarkowych czynił podarunki na pamiątkę członkom Sejmu? A przecież „Duży“ lub „Mały Trampeczyński“ mają wartość znacznie większą niż banknoty 1000-markowe. Śledztwo policyjne nie doprowadziło jednak do śledztwa sądowego, starano się umorzyć sprawę za pomocą kilku wykrętnych frazesów oficjalnych, którym publiczność nie wierzy ani jednego słowa. Czeką się fatalistycznie aż skandal urośnie, aż w cieniu urzędowych zaprzeczeń złodzieje zrobią resztę swoich interesów zyskowych, aż współwinnych będzie tylu, że urzędowe milczenie stanie się niemożliwe. Wymówka pana Ministra, jakoby wszyscy inni tylko nie on handlowali markami, które były w wyłącznym jego posiadaniu, musi być sądownie udowodniona, bo inaczej wina spada na setki ludzi, urzędników i posłów, na których pada cień tylko z obrony Ministra, nie mającego pojęcia o swoich obowiązkach w takiej sprawie.

Nie też dziwnego, że uczciwi urzędnicy, jak pan Kazimierz Tollczko, Szef Sekcji Gospodarczej i pan Czesław Młodzianowski, Naczelnik Wydziału drukowania marek, nie mogąc się doczekać śledztwa sądowego, wyjaśniającego tę sprawę, podali się do dymisji, wskazując wyraźnie na stan faktyczny i protestując przeciwko uprawianiu spekulacji z urzędu. Nikt nie chce być kozłem ofiarnym przewinień Ministra, nikt nie chce uchodzić za współnika złodziei i handlarzy i korupcjonistę, kupującego względy posłów. Zaniechanie śledztwa postawiło w zupełnie fałszywym świetle tyle osób, że niszczy to wszelką powagę rządu i Sejmu. A wszystko dla salwowania jednego, w najlepszym razie, nieudolnego człowieka.

Jak dalece ten przykład z góry podniósł niezdrowe apetyty, o tym niech zaświadczy fakt, że 42 sztuki austriackich marek 10-o koronowych wykupionych przez wysokiego urzędnika Ministerstwa Poczt i Telegrafów, z

przedrukiem „Pocztą Polską“ w dwóch kolorach, notowane są dzisiaj na niemieckiej giełdzie filatelistycznej w cenie od 3 do 4 tys. marek niemieckich za sztukę. Dla nadania waloru rynkowego urzędnik pocztowy Walcher, kazał oświadczyć te przedruki na markach. W urzędowym lokalu pocztowym uprawia niejaki pan Ziemiński skandaliczny handel antykami i markami pocztowymi, zapelniając pokój służbowy mnóstwem nabytych na sprzedaż towarów. W oczach handlarzy uchodzi on za szwagra pana Ministra, chociaż podobno nim nie jest. Na tego rodzaju objawy korupcji donoszone panu Ministrowi miał on tylko słowa uznania: „A to spryciarze“. Ostatnio był w toku wielki interes nabycia za 300 tys. marek pocztowych znaczków bolszewickich, który jednak jeszcze nie doszedł do skutku. Jakie złodziejskie zaiste plany powstają na tle spekulacji pana Ministra, niech zaświadczy fakt następujący, znany policji z doniesienia karnego z dnia 15 września r. b. Inspektor poczt i telegrafów, Stanisław Maciąga, skandaliczny pijak, pijany często od rana do nocy, slaniający się po korytarzach poczty, z niejakim d-r'em Pniewskim proponował panu Młodzianowskiemu utworzenie spółki celem wykupna całego nakładu jednej wartości marek sejmowych, aby osiągnąć przez to na rynku filatelistycznym miljonowe zyski. Nie wahano się przytem proponować zniszczenia klisz przez pożar i t. p. dla uniemożliwienia dalszego druku tych marek. Pomimo, iż w kołach urzędniczych zupełnie głośno mówi się o tym planie pana Maciągi, jest on dalej inspektorem Poczt i Telegrafów.

Szał spekulacyjny, pobudzony przez pana Ministra, skłonił pana Maciągę do tego, że wraz z d-r'em Pniewskim proponował wprost panu Młodzianowskiemu drukowanie jeszcze jednego gatunku marek sejmowych w najniższej cenie 5-u fen. za sztukę w małym nakładzie, aby wykupno tego gatunku jaknajmniej spekulantów kosztowało. Aby zaś marki te były jako rzadkość kupowane, proponowali odbitkę na nich pp. Paderewskiego i Trańpczyńskiego ułożonych tak, jak figury waletów na kartach do gry. Polska pocztą miała tu służyć dla niebywałego w dziejach filatelizmu interesu. Najsmutniejsze, że Prokuratura państwa wie o tych wszystkich szalbierstwach i planach i milczy dla nieskompromitowania fachowego Ministra Poczt i Telegrafów.

Jakże może być inaczej, jeżeli urzędnik 6-ej rangi zajęty obecnie w Pocztowej Kasie Oszczędności, a więc w największym wkrótce Banku Państwowym Polskim, skazany za zbrodnię sprzeniewierzenia i oszustwa, ukrywający się przed sądem karnym i policją Małopolski, urzęduje spokojnie w Warszawie, a poszukujący go akt urzędowy leży spokojnie na biurku pana Ministra. Publiczność warszawska może o tym spokojnie przeczytać w nr. 324 „Robotnika“ z dnia 1-go października, gdzie podane nazwisko urzędnika i liczby aktów karno sądowych o jego nieodpokutowanych jeszcze zbrodniach.

Jeżeli dodamy do tego wszystkiego, że pan Minister Linde jest honorowym prezesem Związku Filatelistów Polskich, otrzymamy obraz artystycznie doskonały, w którym nie brak także i humoru.

Jednym z takich humorystycznych rysów obrazu jest także mianowanie pana Inspektora Maciagi i pana Walchera sędziami śledczymi w Wyższej Komisji Dyscyplinarnej do zbadania nadużyć markowych.

Znaczną rolę w kampanii dziennikarskiej, mającej oczyścić pana Ministra od wszelkich zarzutów, odegrał niejaki pan Augustyński, redaktor „Gazety Poniedziałkowej”. Aby zrozumieć głęboką wiarę tego dziennikarza, szarpiącego cześć ludzi tej miary, co Prezydent Ministrów i Naczelnik Państwa, należy dodać, że pan Augustyński dostał w przedśionku głównej poczty warszawskiej kiosk dla sprzedaży gazet i marek pocztowych. Przy sprzedaży marek dostaje pan Augustyński 3% rabatu. Sprzedaż ta zyskowna odbywa się o parę kroków od okienek urzędowych, gdzie się sprzedaje marki na całkowity rachunek rządu. Za to pan Augustyński pracuje dzielnie nad wybieleniem murzyna i nad szkalowaniem tych wszystkich, którzy nie chcą uchodzić za złodziei dla ratowania pana Ministra.

Zgodnie z naszym założeniem, przedstawiliśmy tutaj stan sprawy o charakterze kryminalnym i nie żądamy niczego, jak tylko zarządzenia śledztwa sądowego, które posługując się sankcją karną przysięgi może wyświecić prawdę całą i szczerą. Resort pana Ministra Lindego nie należy do resortów politycznych, przynależność partyjna pana Lindego ani jego ulubieńców nie jest nam znana, banda handlarzy markami nie da się podsumować pod żadną partję lub wyznanie. Jedynym względem nie oddawania tych spraw sądowi jest względ na stanowisko pana Ministra, na przynależność jego do Rady Ministrów. Dlatego mamy nadzieję, że Rada Ministrów nie zechce kryć sobą czynów, które scharakteryzowaliśmy powyżej i stawiamy pytanie:

Czy Rada Ministrów jest skłonna polecić bez zwłoki oddanie całości spraw wyżej opisanych śledztwu sądowemu?

(Podpisy):

TEATR.

„POLITYKA” — Wł. Perzyńskiego.

Warszawa zaśmiewa się od szeregu tygodni na przedstawieniu „dowcipnej komedji” Perzyńskiego w teatrze Małym. Tysiące oklaskują radośnie jedną właściwie, jedną tezę, że zguba Polski jest **polityka**. Że narzędzia polskiej polityki Sejm i Rząd polski, to zbiór idiotów i szubrawców. Przypominają się ludziskom dawne „dobre” czasy, kiedy chleb był tani a oberpoliemajster nie brał zbyt już wygórowanych łapówek; nie tak znowu dawne czasy wolności moskiewskiej w Warszawie.

Bo Moskale dawali Warszawie wielką wolność. Wolno było bawić się, upijać się choćby przez całą dobę, żyć z gry w karty. Co któryś dom był „pokoje do wynajęcia”, a jeżeli kto bawił się kosztem cnoty i zdrowia nieletnich dziewczątek, córek rodzin robotniczych, także mu włos z głowy nie spadał... Tylko jednego nie wolno było robić: **polityki!** Za robienie polityki,

mającej na celu stworzenie polskiego Sejmu i polskiego rządu szło się na Sybir, albo i na szubienicę!... Tak samo i Bismarck wołał do lepszej części szlachty polskiej: „Do Monako!“ Wróg dawał zabawę, tani chleb i tanie łapówki raczej, niż — — wolność polityczną.

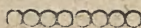
A dziś Warszawa zaśmiewa się nad karykaturą rządu i sejmu polskiego. Karykaturą nieartystyczną, rzuconą w chwili odruchu raczej, niż twórczości. Warszawa się śmieje z różnych, niebardzo szlachetnych powodów. „Klub myśliwski“ bije brawo za poniżenie sejmu — to zapłata za reformę rolną!, kamienicznicy wyją z radości — to za ustawę o obronie lokatorów! — koltun zaś inteligenci mści się nad sejmem — za nadmiar siermiąg chłopskich...

Obok dwójga matolek — posłów sejmowych (kobieta poseł! to także śmiesz i razi naszą publiczność teatralną...) przechodzą przez scenę, jak w szopce: minister rozczochny, brutal i spryciarz, jego szef sekcji — złodziejaski i sekretarka — dziewczka służebna. To Rząd polski. Rezonerem sztuki jest szlachcic, który jęczy, że łapówki w Polsce stanowczo już za wysokie. W Polskę wierzy właściwie warjacja — hrabina (dość wątpliwa zresztą), ale „życie“ ją wyleczy...

Złe w Polsce. Bezrobocie, głód, łapówki, nieład. Winien temu polski sejm i polski rząd, winno to, że Polacy zajmują się polityką. Gdyby tak się od polityki masowo odwrócili, zostawili ją obcym — tak jak to było przed wojną, — gdyby można było i bawić się, i jeść, i pić, i żyć nie na własną, zbiorową odpowiedzialność, gdyby „brudy“ polityki brali na siebie urzędnicy obcy (niech się tam moskiewski urzędnik plami!) — ach, jakże w Polsce byłoby dobrze...

Nie chcemy krzywdy robić autorowi. Z pewnością nie te intencje miał na oku, pisząc swoje karykatury. Ale publiczność stolicy, gdzie nie tak dawno wolno było bawić się, robić interesy i kraść pod rządami Hurków, Skallonów i Engalczewych, ale gdzie nie wolno było krytykować ani głośno się skarżyć, ani organizować jawnej walki politycznej, zrozumiała sztukę po swojemu i cieszy się, jak gromada dzieciaków z powodu swojej własnej nędzy i niedojrzałości.

Warszawa oklaskuje satyrę, pisaną afiszowemi literami, a rząd i sejm polski nie tylko nie zakazują tej uciechy, lecz znoszą krytykę, chociażby aż tak jednostronną, z największym spokojem. I dobrze, że tak spokojnie znoszą. To wolność, a wolność leczy rany swoje sama. Ale wolności w Polsce bez sejmu i rządu polskiego nie da się pomyśleć. A sejm i rząd bez polityki najszerszych mas ludowych byłby nonsensem. To jest abecadło i trzeba, żeby stolica się nauczyła czytać, tak jak trzeba, żeby dzieci w Warszawie zaczęto wreszcie uczyć czytać i pisać w szkołach, których dla dwu trzecich brak. Trzeba polityki, więcej polityki, lepszej polityki! Trudno, ale samym „kwiatkiem“, czy „znaczkiem“ na ulicach, tombola, czy konkursem hipicznym nie uleczy się Łazarza, nie zbuduje Polski...



Sprawozdania.

Aleksy Rzewski. „W walce z przemocą“. Wspomnienia. Warszawa -- Łódź. 1919. Str. 68.

Marian Malinowski („Wojtek“). „Z krwawych dni“. Lublin 1919. Str. 76, cena 5 kor.

Cóż robić z temi ludźmi żelaznemi?

Uledez mi nie chcą. — Cóż robić?

Te pytania Lecha z Lilly Wenedy streszczają w sobie stosunek caratu do polskiego ruchu socjalistyczno - niepodległościowego.

Władze carskie zadawały sobie ustawicznie pytanie: coź zrobić z temi ludźmi żelaznemi. I znajdowały jedyną odpowiedź: niszczyć.

Rozgorzała walka na śmierć, walka o życie, co więcej, walka o urzeczywistnienie ideału między nielitościwie gnębionym ruchem socjalistycznym a caratem.

Socjaliści polscy, bojownicy o wolność narodu i swobodę klasy robotniczej, szli na Sybir, do katorgi, do X pawilonu, zapelniali kazamaty Krestów i tysiące innych więzień, wisieli na stokach cytadelii..

Szli jednak i niesli swą krew ofiarną i swe życie w dani. Szli umierać. A umierali z pieśnią na ustach. Z pieśnią o zwycięstwie. Strofy Czerwonego Sztandaru służyły im za modlitwę pogrzebową, a za podzwonne okrzyk ostatni: Niech żyje Niepodległa Polska! Tak odrodził się na nowo mit polski. Polski, walczącej, tej, która nie zginęła i zginąć nie chciała.

Gdy na widownię życia europejskiego wystąpiła klasa robotnicza, jako mowa siła społeczna, domagająca się należnych sobie praw, walcząca legalnemi środkami o przekształcenie w myśl swych ideałów obecnego ustroju — w Polsce działał konspirator i bojowiec. Obadwaj byli „w walce z przemocą“, z przemocą — obcą, z obcym na kraj najazdem, i z wszelkim najazdem ten popierającym, miejscowym plugastwem.

Gdy przeżycia zachodnio - europejskiej klasy robotniczej, przeżycia niekiedy mistrzowsko odzwierciadlane w literaturze („Tkacze“ Hauptmana, „La Horda“, „Bodega“ Blsaco Ibaniza, utwory Charles - Loui Philippe'a, Eckhout'a i t. p.), są wyrazem dramatu społecznego, będącego wynikiem rozwojowym ustroju kapitalistycznego, w Polsce jest zgola inaczej!

Klasa robotnicza Polski przedewszystkiem przeżywa dramat narodowo-polityczny. Ten dramat jest flem, na którym rozgrywa się walka społecznych interesów. Dzieje się to często, bardzo często nieświadomie. Ale tak się właśnie dzieje, a nie inaczej.

Nawet dziś, kiedy warunki tak radykalnie się zmieniły, mamy jeszcze echo owych czasów... w Radzie Delegatów Robotniczych Socjalistycznych - Niepodległościowych.

W takich warunkach kształtował się typ — polskiego konspiratora i polskiego bojowca!

Polski bojowiec! Polski bojowiec socjalistyczny! Wstaje przed oczyma wizja: Bartosz Głowacki, Somo-Sierra, 1830 r., 1848 r., 1863 r., konspiracja socjalistyczna i bojówka,

Bo jak to rzekł Sulkowski?...

— Musimy się tutaj wszyscy nauczyć, jak wieść wojnę zwycięską. Sztuka harda wojenną wybijamy w skałę drogę i wrota do naszej wolnej Ziemi. Krew nasza poieciec w obce skały, piaski i gliny od wielkiej nędzy i od najtrwadszej z prac. Będziemy się walić w cudze rowy i słać po obcych drogach, ale dojdziemy wtedy do miejsca. Com wam rzekł: padnie rozkaz!

Padł rozkaz. Szli i dawali swą krew obficie, życie beztroskliwe.

A Historia kiedyś powie ilu i jakiej miary bojowcy tworzyli polski czyn — czyn legjonowy.

Gdy zaś Polska Niepodległa stała się już na jawie, ci sami „nie chcą już bronić dyktatury żołnierzy z białymi orłami na kaszkietach...”

Takie jest tło psychologiczno - dziejowe kształtowania się polskiego socjalisty. Socjalisty bojowca.

Przyszły dziejopis czy artysta będą czerpali pełnemi garściami z tej skarbnicy. Ba! Dla badacza czy artysty ten okres polskich dziejów, a zwłaszcza rozwoju polskiego ruchu robotniczego będzie niezwykłym połowem pereł, swoistych pereł osobliwej piękności. Ruch robotniczy w tem oświeceniu nabierze przedziwnej barwności. Co za wdzięczny dla artysty temat. Literackimi typami, jakże ciekawymi psychologicznie, i nowemi w literaturze, są niedawno wydane dwie książki: A. Rzewskiego „W walce z przemocą” i M. Malinowskiego „Z krwawych dni”.

Obiednie pisane przez robotników, ongi konspiratorów i bojowców, znanych działaczy socjalistycznych: Rzewski jest prezydentem Łodzi, Malinowski posłem na Sejm.

Są to niezwykle ciekawe impresje ludzi, którzy mają coś do powiedzenia, bo coś przeżyli, coś stworzyli i coś jeszcze mają do zrobienia.

Obiedwie książki pisane są różną techniką pisarską, stąd ta odmienność stylu.

Rzewski syntezuje, Malinowski obrazuje. Ale ta odrębność płynie jeszcze z innego źródła. Jak oni to stylowo inaczej, niż burżuazyjni pisarze ujmują. Pisał Weysenhoff, Sienkiewicz, Bartkiewicz i kto tam jeszcze!? Umieemy to na pamięć.

Literackość zaś Rzewskiego i Malinowskiego, to — nowy świat.

Nowy świat, nowi ludzie, nowa klasa, rodząca się w bólu i męce, a w walce krwawej wkraczająca na arenę życia społecznego, wychyla swe oblicze z poza kart „Wspomnień” Rzewskiego czy „Krwawych dni” Malinowskiego.

Przeżywamy niezwykle ciekawe czasy. Polska zdaje się będzie musiała przewartościować i zagadnienie swej — literatury współczesnej.

Wł. W—t.